

 NATIONAL
GEOGRAPHIC
POLSKA

DZIENNIKI Z PODRÓŻY



**BEATA
PAWLIKOWSKA**

**Blondynka
w Tybecie**



Blondynka
w Tybecie





DZIENNIKI Z PODRÓŻY

BEATA  **PAWLIKOWSKA**
Blondynka
w Tybecie

The illustration shows a woman in traditional dress standing on a small patch of ground, looking towards three yaks. The yaks are depicted in a simple, line-art style with their characteristic curved horns and shaggy coats.

Tybet



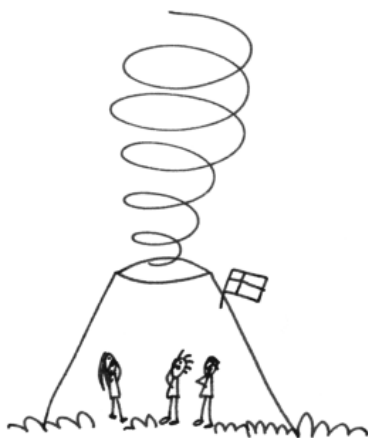


Przeznaczenie

Prawda jest jak wiatr wiejący przez dzikie górskie pustkowia. Zimny, kęsający, wciskający się pod ubranie i tak przenikliwy, że wydaje się dotykać kości. Ślizga się po zboczach gór, porywa drobny piasek i skręca go w warkocze powietrznych trąb. Sypie pyłem w oczy, szarpie za włosy i chłosta po skórze. Nie można przed nim uciec. Z przeznaczeniem czasem jest tak samo.

Nie miałam zamiaru jechać do Tybetu i nie planowałam tej wyprawy. I nie zdawałam sobie sprawy z tego, ile zdarzeń dookoła wskazuje mi kierunek, którego nie umiałam dostrzec, a które w końcu doprowadziły mnie do miejsca, gdzie przeżyłam jedną z najbardziej poruszających podróży w życiu.

Nie widziałam żadnych znaków. Nie zwróciłam na nie uwagi. Ale one były i towarzyszyły mi przez



- Wybuch wulkanu na Islandii - powiadziat Hugh Jackman. - Loty do Europy sa odwołane.



cały czas wyprawy w Himalaje. Od pierwszego wieczoru, kiedy... Ale zacznę od początku.

Byłam wtedy w Nepalu. Po trekkingu w okolicach Annapurny wróciłam do stolicy. Dwa dni później miałam lecieć z powrotem do Polski. Siedziałam spokojnie w hotelowym lobby, kiedy niespodziewanie w telewizji pokazano złowieszczo wyglądającą czarną chmurę unoszącą się w powietrzu.

Znacie takie okropne uczucie, kiedy człowiek odkrywa pewną straszną prawdę, ale ludzi się jeszcze, że może mu się tylko zdawało?

Na recepcji zapadła cisza.

– Co się stało? – zapytał ktoś, bo chociaż informacje były po angielsku, to brzmiały tak nieprawdopodobnie, że trudno było w to uwierzyć.

– Wybuchł wulkan na Islandii – odpowiedział Anglik podobny do Hugh Jackmana. – I w Europie nie latają żadne samoloty.

– Jak to?! – wszyscy zrobiliśmy wielkie oczy. – Wulkan? Jaki wulkan?

– Na Islandii – powtórzył Anglik. – Chmura pyłu wulkanicznego uniosła się do atmosfery i zagraża silnikom samolotów, dlatego wszystkie loty do Europy są odwołane.

Odwołane?!... Ale jak to?... Przecież ja mam bilet! Muszę lecieć! Wszystko miałam starannie zaplanowane – powrót do Polski, ważne spotkania, audycję w Radiu ZET, następną wyprawę do Afryki, która

miała się rozpocząć za nieco ponad tydzień. Po prostu nie ma takiej opcji, żebyśmy nie wróciła na czas.

Pobieglam do Internetu. Na wszystkich portalach pisano o tym, że wulkan sapie i dyszy, wypływając z siebie coraz to nowe chmury pyłu. Zamykały się kolejne lotniska, nikt nie był w stanie powiedzieć kiedy powietrze się oczyści. Ale zaraz!... Genialna myśl zaświtała mi w głowie. Przecież ja mam bilet z przeładką w Katarze! Dolecę do Kataru i stamtąd jakoś będę próbowała dostać się dalej do Europy. Lepiej być o sześć godzin bliżej Polski, prawda?

Lotnisko było dziwnie puste. Przed okienkiem katarskich linii lotniczych w kolejce stali tylko tubylcy. Ja muszę lecieć – powtarzałam sobie, ciągnąc torbę. – Inaczej nie może być. Jest to dla mnie tak ważne, że po prostu nie ma innej opcji. Muszę lecieć.

– *Excuse me* – wtrącił się w moje myśli miły męski głos.

Podniosłam głowę. Przede mną stał sympatyczny gość w białej koszuli ze złotą plaketką linii lotniczych. Odetchnęłam z ulgą. Tak, proszę pana, jestem gotowa do odprawy i już się nie mogę doczekać, żeby wsiąść do tego samolotu.

– Dokąd pani leci? – zapytał uprzejmie Nepalczyk.

– Do Doha – odrzekłam zgodnie z prawdą.

– Czy mogę zobaczyć pani bilet?

– *Of course* – uśmiechnęłam się.

– Miss – powiedział Nepalczyk – przykro mi, ale wszystkie loty do Europy są odwołane.

– Oczywiście, wiem – zgodziłam się, wciąż z uśmiechem. – Ale ja nie lecę do Europy. Lecę do Kataru.

– Nie możemy pani przyjąć na pokład samolotu – odrzekł Nepalczyk, oddając mi bilet. – To niemożliwe.

– Ale ja mam ważny bilet do Doha! – upierałam się.

– *Sorry, miss* – odpowiadał Nepalczyk i tak samo odpowiadali wszyscy jego przełożeni, z którymi kolejno rozmawiałam, tłumacząc, że łatwiej mi będzie dolecieć do Polski z Doha niż z Katmandu.

– *Sorry, miss* – rozkładali ręce, pokazując mi maile i faksy z centrali, zakazujące wpuszczania na pokład samolotu pasażerów, mających dalsze połączenia do Europy.

Dwie godziny później usłyszałam silniki samolotu wjeżdżającego na pas startowy. Mój samolot do Doha przygotowywał się do startu. A ja stałam na lotnisku z torbą podróżną i ważnym biletem w ręce.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się coś takiego. Przez dwadzieścia lat podróżowania i latania samolotami zawsze udawało mi się zdążyć na czas. Bywało, że samoloty się spóźniały. Raz czekałam na lotnisku przez dwadzieścia trzy godziny na następny lot, ale stało się tak na skutek opóźnienia innego samolotu, więc istniało racjonalne wyjaśnienie, a ja po prostu musiałam poczekać na najbliższe połączenie.

Tym razem jednak było inaczej.

Mój samolot odleciał, a ja wpatrywałam się ze zdumieniem w ciemność nepalskiej nocy. I wtedy pomyślałam, że musi w tym być jakiś ukryty sens. Tylko jaki?...

Następnego dnia niespodziewanie przestałam czuć głód. To dziwne, bo zazwyczaj mój organizm co kilka godzin domagał się zasilenia energią, a ja starałam się go słuchać. Jem tylko wtedy, kiedy jestem głodna i tylko tyle, ile mi potrzeba. Nie jem na zapas ani z łakomstwa. Nagle jednak przestałam mieć ochotę na zjedzenie czegokolwiek. Nawet moje ulubione jabłko zjadłam do połowy, bo więcej nie byłam w stanie.

Nie brakowało mi energii. Przez pół dnia stałam w kolejkach do biura linii lotniczych, a potem pod nepalskim urzędem imigracyjnym. Loty do Europy były zawieszane do odwołania. Nikt nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie kiedy zostaną otwarte lotniska. Nie było miejsc na jutro ani na pojutrze.

– Najbliższy lot do Frankfurtu, hm... – dziewczyna powoli przerzucała dane w komputerze. – Hm... hm... – kręciła głową, szukała dalej i nagle podniosła głowę. – Jest miejsce na dwudziestego siódmego kwietnia.

– A?!!!! – aż mnie zatchnęło. – Przecież to jest dopiero za więcej niż tydzień!

Dziewczyna skinęła głową.

– Wcześniej nie ma żadnych miejsc??...

– Nie ma.



To drzwone, ale nagle
pnestatam cuc' glöd.
Nie miatam ochoty na
zjedzenie cregokolwiek



Patrzyłam na nią z niedowierzaniem i miałam tak zdumiony wyraz twarzy, że dziewczyna zaproponowała:

– Może coś się zwolni. Proszę przyjść jutro.

Tak, znałam ten scenariusz. Ludzie ustawiali się w kolejce do biura linii lotniczych o szóstej rano. Codziennie. Po kilku godzinach siedzenia na chodniku podchodzili do okienka i pytali czy już są jakieś wolne miejsca.

– Na razie nie ma – słyszeli w odpowiedzi. – Proszę przyjść jutro.

Nikt nie wiedział jak długo chmura wulkanicznego pyłu będzie wisiała nad Europą i nikt nie był w stanie przewidzieć kiedy samoloty zaczną normalnie latać. Poza tym wolne miejsca w samolotach przydzielano w pierwszej kolejności podróżnym, którzy od kilku dni koczowali na lotniskach.

– Dziękuję – odrzekłam, chowając do kieszeni bilety na dwudziestego siódmego kwietnia.

Następne kilka godzin zajęło mi przedłużenie nepalskiej wizej. Pod urzędem imigracyjnym kłębił się tłum Europejczyków uwięzionych w Katmandu. Jeden z nich przez telefon usiłował dowiedzieć się jakie są szanse na powrót do domu.

– Słucham?... Na kiedy?... Przepraszam, na kiedy???... Najbliższy lot do Hamburga jest dopiero na piątego maja????...

Przedłużyłam wizę o następne piętnaście dni. I wciąż nie byłam głodna. Piłam tylko wodę. I nagle zaczęłam je widzieć.

Wracając do hotelu zatrzymałam się przed wystawą księgarni. Wśród książek dostrzegłam od razu znajomą mi pomarańczowo-zieloną okładkę The Tibetan Book of Living and Dying. Mam ją w domu, przywozłam ją kilka lat wcześniej z poprzedniej wyprawy w Himalaje. To fascynująca książka wyjaśniająca buddyjską perspektywę patrzenia na życie, medytacje, przemijanie i koniec, który wcale nie jest końcem.

Patrząc na tę książkę niespodziewanie przypomniałam sobie, że jej widok towarzyszył mi właściwie od pierwszego dnia przyjazdu do Nepalu. Widziałam ją niemal wszędzie – w rękach czytającego turysty, w księgarniach, na małej półce z lekturami w górskim schronisku...

Hm. Czy to nie trochę dziwne? Może nie – pomyślałam i ruszyłam dalej.

Wróciłam do hotelu. Nagle uświadomiłam sobie, że wszędzie na ścianach wiszą mapy i zdjęcia z Tybetu. Dalajlama, Pałac Potala, rolnik z jakami, mnisi w trójkątnych żółtych czapkach, klasztor buddyjski zbudowany na skale... Hm.

Poszłam do pokoju umyć ręce. „Może napiję się jaśminowej herbaty” – postanowiłam i wyruszyłam z powrotem w dół po schodach.

Kiedy wyszłam na ulicę, naprzeciwko zobaczyłam wyraz LHASA, napisany wielkimi czerwonymi litera-